DANUTA DANIEWSKA

ur. 1947; Zemborzyce, k. Lublina

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, Zemborzyce, rzeka Bystrzyca, dzieciństwo, projekt Lublin. W kręgu żywiołów - woda

Dzieciństwo nad rzeką

Urodziłam się w Zemborzycach. To miejsce, w którym w tej chwili mieszkam, jest dzielnicą Lublina, która również nazywa się Zemborzyce. Ale ja urodziłam się w Zemborzycach, które były wsią. Dopiero w latach 70., a dokładnie w 1974 roku, one zostały przyłączone do miasta i stały się dzielnicą Lublina.

Urodziłam się niemalże nad rzeką. Dom moich rodziców stał w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od niej. W związku z tym nasze życie miało ogromny związek z rzeką. Wszystkie najwspanialsze wspomnienia z mojego dzieciństwa są właśnie związane z Bystrzycą. Dom, w którym mieszkam od piętnastu lat, znajduje się przy utwardzonej drodze miejskiej, ale wcześniej była to droga prowadząca do mostu przez rzekę Bystrzycę. Ten most był łącznikiem między naszymi domami i drugą stroną rzeki, gdzie znajdowały się łąki, które były regularnie koszone. Rolnicy zbierali siano i przewozili furmankami prze bród koło mostu. To miejsce było dość płytkie. Pamiętam, nabieraliśmy w tym miejscu wodę. Wjeżdżało się wozem konnym od strony łąki. Na nim znajdowała się taka wielka beczka, którą napełniało się wodą czerpaną z rzeki.

Obok tego brodu, na nieco wyższym brzegu rzeki stała urocza chałupka – drewniana, jednoizbowa, kryta strzechą. Otaczał ją malowniczy ogródek z malwami i kwiatami kwitnącymi na żółto, których nazwy w tej chwili nie pamiętam, ale one dodawały uroku temu miejscu. Nieopodal była wierzba pochylona w stronę wody, na której jako dzieci często siadaliśmy i bawiliśmy się, mocząc stopy. To bezpieczne miejsce, nie było głębin, które by zagrażały dzieciom.

Po obydwu stronach mostu ciągnęły się zabudowania wsi Zemborzyce. Najbliżej mostu był taki dość wysoki brzeg, na którym stały domy. Dwa domy sąsiadujące bezpośrednio z rzeką znajdują się tam do dzisiaj. Dalej już nieco inaczej to wygląda.

Kolejny dom, w którym mieszkałam z rodzicami, jest trochę unowocześniony, za to wciąż bardzo blisko rzeki. Między domostwami a rzeką znajdowały się pastwiska, które nazywaliśmy pasternikami, bo służyły do wypasu bydła. Poza tym na obszarze pasterników były kąpieliska, gdzie przebywało bardzo dużo ludzi, szczególnie w niedziele. Ludzie przyjeżdżali z Lublina pociągiem, przechodzili nad rzekę i korzystali z takich właśnie dogodnych miejsc do kąpieli. Były głębokie miejsca, gdzie można było nurkować i skakać z drzew rosnących nad rzeką, ale były i takie płycizny, na których mogły się bawić dzieci.

Poza mostem były również kładki, którymi przechodziło się na drugą stronę rzeki. Właśnie teraz opowiadam o takim miejscu między kładką a mostem. Tam się toczyło towarzyskie życie wiejskie. Moja mama prała na tarze w balii. To było wielkie wydarzenie rodzinne. Wszystko, co się prało, płukało się w rzece. Były takie specjalne kładki, na które chodziły kobiety z upraną, ale wymagającą płukania bielizną. Suszenie odbywało się też w szczególny sposób. Na tych pasternikach rosły topole. Między tymi topolami były rozciągnięte sznury do suszenia. Kto wypłukał, to potem sobie wywieszał pranie. Spędzając czas ze znajomymi, czekało się, aż to pranie wyschnie i zbierało się już suche, przynosiło się do domu. Nie zawsze tyle się czekało, ale bardzo często tak się zdarzało. Ten czas poświęcało się na rozmowę z sąsiadami, wymianę różnych spostrzeżeń, omówienie wydarzeń, które miały miejsce w Zemborzycach. Kontakt z sąsiadami był naprawdę bezpośredni, to było społeczeństwo zupełnie inne od obecnego. Nie pamiętam żadnych konfliktów, które powodowałyby, że sąsiedzi na przykład ze sobą nie rozmawiali albo byli w stosunku do siebie złośliwi.

Wracając do kładki, ona nie miała zbyt solidnej konstrukcji. Pale wbite w wodę, jakieś poprzeczki, a na nich deski, czasem przybite, a czasem luźno położone. Dla dzieci stanowiło to fantastyczną zabawę, bo jak stanęło się na brzegu jednej deski, to ta deska z drugiej strony się podnosiła. W ten sposób od zręczności biegającego po tej desce zależało, czy on wpadnie do wody, czy nie. Tak się składa, że ja wpadłam do wody. Wspominam to niezbyt przyjemnie, bo do dzisiaj czuję się pokrzywdzona.

Ludzie przebywający w niedzielę nad wodą nazywali się letnikami. Zdarzało się, że część z nich nocowała w tutejszych domach, wynajmowali po prostu pokój i przyjeżdżali z Lublina całą rodziną, mieszkali miesiąc na przykład, czasem całe wakacje tutaj spędzali. To była niedziela, tych letników było dość dużo. Kiedy tak spadłam z luźnej deski na kładce, to któryś z nich mnie wyłowił z tej wody. Pamiętam taki ładny obraz w tej wodzie, takie rybki – albo może rybki to już moja wyobraźnia, ale na pewno były pęcherzyki powietrza, to wyraźnie widziałam. Jak mnie stamtąd wyłowiono, to ustalono moją tożsamość i przyprowadzono mnie do mamy. Mama – zamiast się ucieszyć, że zostałam uratowana – ściągnęła ze mnie mokrą sukienkę,

zrobiła z niej skrętek i tym skrętkiem dostałam po pupie.

Przez tę kładkę prowadziła ścieżka wiodąca do lasu. W lesie w latach 50. już była zabudowa – kilka domostw. Tam mieszkali najubożsi mieszkańcy Zemborzyc. Nie wiem, na jakiej zasadzie oni dostali fragment lasu, nie potrafię tego dokładnie powiedzieć, ale tam właśnie mieszkali. Wodę nosili z rzeki, a prądu tam nie było, mimo że wieś została zelektryfikowana jeszcze przez Niemców, którzy zrobili to nie ze względu na mieszkańców, tylko dla własnych potrzeb. Wokół tej kładki było dość głęboko, ale nieco wcześniej było kąpielisko, a koło niego stała pochylona wierzba, z której się dawało nurki. Była też olcha, do której przybito jakieś poprzeczki i zeskakiwało się z tamtej wysokości na nogi.

Ponieważ wychowywałam się w towarzystwie chłopców, musiałam dostosowywać się do nich. To oni uczyli mnie jeździć na rowerze, pływać. Nauka pływania polegała na tym, że dwaj chłopcy stawali na brzegu, trzymali mnie za ręce, rozbujali i wrzucali do wody. Trzeci stał w wodzie i sprawdzał, jak sobie radzę. Jeśli nie wypływałam, to mnie wyciągał. Jak za którymś razem wypłynęłam, okazało się, że już posiadam umiejętność pływania. To wszystko działo się właśnie na tej przestrzeni między mostem a kładką.

Przez wieś prowadziła droga, przy której stały domy. Ponieważ tą ścieżką kilka razy dziennie prowadzano krowy na łąki znajdujące się za mostem, na ziemi były takie charakterystyczne żłobienia. Fajnie się przez nie skakało. Z powodu krów ta ścieżka była zanieczyszczona na różne sposoby. Pamiętam, że w sobotę robiło się generalne porządki. Sprzątało się podwórko – każdy gospodarz uważał to za swój obowiązek. Szczególnie gospodynie. Zamiatało się podwórko i ten odcinek drogi, który znajdował się przed danym domem, także było naprawdę czysto i bardzo schludnie.

Do kładki dochodziło się od strony gęstych zabudowań i gościńca – tak się to wtedy nazywało, to nie była ulica ani szosa, tylko gościniec. Taka polna, nieutwardzona droga. Do tego gościńca prowadziły wąskie uliczki między domami. Przy jednej z takich uliczek zaczynał się wyższy brzeg rzeki. Zimą po tej stromiźnie zjeżdżało się na zamarzniętą rzekę. Była to fantastyczna przygoda, szczególnie na wiosnę, jak rzeka zaczynała rozmarzać. Pod spodem był lód, a na wierzchniej części była woda i wjeżdżanie z ośnieżonej górki na lód w tę wodę, która rozbryzgiwała się i zamarzała na nas, było niesamowitą frajdą. Zdarzało się, że przychodziliśmy wyziębieni, bo zanim zdecydowaliśmy o powrocie do domu, to już zdążyliśmy porządnie zmarznąć Ale rodzice mieli cudowny sposób na rozgrzewkę - na wejście dostawało się kilka klapsów w pupę.

W tym miejscu znajdował się rów melioracyjny, który powstał w moim wczesnym

dzieciństwie – na przełomie lat 40. i 50. Przeprowadzono wtedy meliorację łąk, która miała zapobiegać zatapianiu. Zdarzało się, że ludzie mieszkający w lesie za rzeką byli odcięci od świata, bo łąki były zatopione. Melioracja temu w jakiś sposób zaradziła. Pamiętam właśnie taki chyba najbardziej pokaźny rów melioracyjny, który z kilku mniejszych rowów przecinających łąkę odprowadzał wodę bezpośrednio do rzeki. To powodowało, że wokół tego rowu powstało duże rozlewisko, przy którym była kładka i bród, ale rzadziej uczęszczany niż ten, o którym mówiłam wcześniej. Za to w zimie na tak rozległej przestrzeni rzeka zamarzała i było przepiękne lodowisko, gdzie skupiało się życie – szczególnie dzieci. Odśnieżano to lodowisko, jeździło się na łyżwach, chłopcy grali w hokeja. Można było na tej kładce przysiąść, zmienić buty na łyżwy i odwrotnie.

Między kościołem i rzeką, która dalej zaczynała meandrować, były zarówno po prawej, jak i po lewej stronie zabudowania. Niektóre znajdowały się tuż nad wodą. Oddzielała je droga, którą już jako kilkulatka chodziłam do szkoły. Wprawdzie gościniec też nie był niebezpieczny, bo tam zaledwie kilka furmanek dziennie przejeżdżało, ale rodzice nakazywali chodzenie tędy, bo uważali, że to jest jeszcze bardziej bezpieczne, bo żaden wóz dziecka nie rozjedzie. A poza tym to była bardzo sympatyczna okolica – drzewa rosnące nad rzeką i w pobliżu tej ścieżki dawały dużo cienia, więc w lecie to było przyjemne. Zimą można było schodzić na tę rzekę i korzystać z możliwości ślizgania się w drodze do szkoły.

Szkoła była na wysokim brzegu. To był budynek z lat 50., ale nie nowy. Przywędrował do nas z Lubartowa. Podobno to była kiedyś bożnica żydowska. W okresie powojennym mieszkańcy Zemborzyc odkupili budynek, żeby móc wybudować szkołę. Na tamte warunki był dość obszerny. Pamiętam, że podłogi były pokryte pyłochłonem, by jak najmniej się kurzyło. To trochę śmierdziało, ale przynajmniej dawało jakiś komfort.

Na wysokości szkoły była kolejna kładka, która prowadziła do lasu. Tych połączeń z lasem było dość wiele. Każda kładka miała swoją nazwę, swój urok, inaczej wyglądała. Na przykład kładka najbliżej mnie położona nazywała się „Maćkowa kładka”, dalej była „Porębów kładka”, później była „Majewskich kładka”. Potem długo nic – a to szuwary rosły, a to coś innego uniemożliwiało dostęp do rzeki.

Przy obecnej ulicy Cienistej jest most. Tam był kiedyś młyn wodny. Właściwie jego turbina była taką trochę pogłębiarką, tam było też takie obniżenie dna rzeki, a jednocześnie były takie miejsca, gdzie było płytko. Ludzie przyjeżdżali, gromadzili się, korzystali właśnie tutaj z możliwości kąpieli w rzece.

Data i miejsce nagrania	2019-06-21, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"